Lwów, 13. Maja. Nr 57. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1 ½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

Dzisiejsza literatura ludowa w narzeczu ruskiem.

Każdy piszący powinien mieć zawsze na uwadze czytelników, i do ich pojęcia się zastosowywać. Czy on pragnie nauczyć ich, czy zabawić, zawsze na względzie mieć powinien ich usposobienie, ich dotychczasowy stan oświaty. Jeszcześ piszac dla klas ukształconych, biorących udział w cywilizacyi europejskiej, ani sobie ściśle tego pojęcia swych czytelników wyobrazić może, bo stopień ukształcenia pojedyńczych osób jest nadzwyczaj rozmaity, ani też ściśle się do tego wyobrażenia zastósowywać potrzębuje. Inaczej zaś dziać się powinno z piszącymi dla ludu. Wykształcenie i usposobienie ludu, osobliwie wiejskiego, jest w całym kraju jedno i to samo. Tu cel jest jasno wytknięty. Pisarz ma tak rzecz swą wykładać, aby go ten lud dobrze pojąć, zrozumieć mógł. Gdzie tego niema, tam cel chybiony. Chcąc to uskutecznić, pisarze w całej Europie, gdzie narzecze ludu różni się od języka pismiennego, gdzie ten język jest mało lub niedość dla ludu zrozumiały, zstępują do ludu, uczą się jego narzecza i w tem narzeczu potem dla tego ludu piszą.

Tymczasem przypatrzmy się, co się dzieje z literaturą ludową w narzeczu ruskiem? Najwięcej piszących jest księży obrządku grecko-unickiego, którzy z natury rzeczy mają powołanie nauczać ten lud, mówiący po rusku, nauczać go słowem czy to żywem, czy pisanem. Dla nauki i podniesienia oświaty tego ludu, (bo dla kogóż innego pisać mają?) zabrali się oni szczerze do pisania i drukowania dzieł w tem narzeczu. Usiłowanie chwalebne pod każdym względem! Ale nawet pragnący wznieść osobną, już nie ludową lecz narodową literaturę w tem narzeczu, przyznać muszą, iż pierwej im trzeba z tego ludu wykształcić i stworzyć naród, iż więc od ludowej literatury zacząć by powinni, bo jedynemi czytelnikami jest lud wiejski. Tam gdzie prócz nauczających i ludu wiejskiego, który nauki potrzebuje, nie ma innej klassy, którą by w tem narzeczu nauczać można, tam wyboru nawet nie ma. Tymczasem z małemi wyjątkami piszący inaczej sobie postąpili. Zamiast pisać dla ludu to właśnie, czego temu ludowi potrzeba, zamiast pisać tym samym językiem, jakim lud mówi, zamiast zejść do ludu i zastósować się do wyobrażeń jego, oni tłumaczą dzieła rossyjskie lub niemieckie, zupełnie dla tego ludu niestósowne, tłumaczą nie aby ztąd korzyść dla kogo spłynęła, aby ktoś z tych dzieł jakąś naukę wydobyć mógł, lecz jedynie, aby i w ruskiem narzeczu te dzieła istniały! Jeżeli albowiem jest jakowaś myśl w tych dziełach, toć ci wszyscy, którzyby tę myśl pojąć mogli, znajdą ją i w zrozumiałym dla nich oryginale, dla ludu zaś jest ta myśl obca i formą i treścią.

Coby powiedziano, gdyby kto dla nauki ludu mówiącego po polsku, zamierzył ogłaszać drukiem owe ogromne foliały, które każdy prawie zdolniejszy młodzieniec polski spisuje, wyśpiewując swe marzenia egotyczne, swe uczucia zawiedzione, swe rozpacze urojone. Drukarnie całego kraju nie wystarczyłyby w kilku latach wydać tych foliałów, co w jednym miesiacu młodzież nawierszuje. Szczęściem iż wszystkie te utwory idą w zapomnienie. Przeczytają je jedynie czarne lub modre oczy, do których są wystosowane, zresztą nikt ich nie drukuje i nie czyta. Tymczasem inaczej się dzieje z utworami oryginalnemi poetów młodych w narzeczu ruskiem, chociaż do tej samej kategoryi, co młodzi egotyczni wierszownicy polscy należą. Ku nauce i wykształceniu ruskiego ludu pieją i drukują oni swoje: »tużneńkii, sołodenkii dumki i dumoczki do misiaczeńka i wesnońki.« Ta chęć przysporzenia ludowi ruskiemu mnogich zasobów, na którychby kształcić się mógł, jest tak wielka, iż gdzie tylko kto dwa wiersze zrymuje, tam one przepaść, w zapomnienie pójść nie mogą, lecz dla szczęścia i dobra ludu przechowane drukiem być muszą.

Nie potrzeba się nad tem zastanawiać, czy podobne poezye wywrą jaki wpływ na lud ruski, ani też obawy nie ma, aby wpływu szkodliwego nie wywarły. Duch który w nich wieje, jeżli jest w nich duch jaki, jest tak obcy naszemu ludowi, iż ta obawa i powstać nie może. Z tego tłumu wierszowników ruskich, jedne tylko utwory Mogilnickiego mają jakowąś poetyczną wartość. Osobliwie powiedzieć to można o pówieści poetycznej (niedokończonej podobno jeszcze) „Skit Maniawskij" chociażby i tu zapytać można, dla kogo to pisane? Dla ludu? za wysokie. Dla mieszczan lub szlachty? nie umieją czytać grazdańskiego, chociażby poezye ruskie, czytelnemi dla nich czcionkami wydane, bardzo chętnie zapewne czytali. Ruskie poezye Padury w każdym domu szlacheckim umieją na pamięć. Dla księży? A czy istnieje gdzie osobna księża literatura?

To co do treści i dążności literatury ludowej ruskiej. A teraz zwróćmy się do języka.

Jak potoczny i śpiewny język ruski w pieśniach Padu-

ry i ludu!.. Świętej powinności byliby dopełnili pisarze ruscy, gdyby skarby języka swego, co do wyrażeń, form i ducha, dotychczas po zagrodach wieśniaczych zachowane, przenieśli w swoje pisma, gdyby tym samym do ludu przemawiali językiem którym ten lud mówi. Atoli pisarze ci swój zawód autorów dla ludu poczęli od zaopatrzenia się w słowniki niemiecko-rossyjskie Szmida a pisania po pismienno-rusku za jego podporą.

Mniejsza o to, co i jak, byle tylko kirylica (grażdańskie abecadło dostało poczęści indygenat, przywilej do poezyi). Siadają więc, myślą jak się myśleć nauczyli, polskim językiem, tłumaczą to na niemieckie, a potem słowo za słowem szukają po owym słowniku Szmida, a dobywszy nakoniec słowa rossyjskie (ktorych znaczenia pewnie bez wiadomości doskonałej języka rossyjskiego nie pojęli) nakręcają w dosłyszane albo przesłyszane, spaczone lub urojone formy ruskie. Dziwny to alembik! dziwaczna metamorfoza! Atoli nowy ten język niema nic z polskiego, chrań boże! przynajmniej się nie przyznają. Już nie mówią „podaje" jak prosty od boga stworzony nasz chłopek ruski się wyraża, lecz „podajet" bo Rossyanin mówi podobnie. Tak więc w tym noworuskiem narzeczu dodają 3. osobie liczby pojedyńczej czasu teraźniejszego **t** na końcu. Piszą nie wełykoho, jak nasz lud mówi, lecz «wełykaho» nie zołoto ale złato, nie dawszy ale daja, nie robyty, ale robit'. Nareszcie się im język całkowicie zbałamucił. Gdzie tylko **cz** nadybią, przylepiają **sz**; zamiast „nocz" piszą „noszcz" (noc), zamiast „mowyt" mołwyt, i t. p. Do czego to wszystko zmierza łatwo odgadnąć.

Niemało tu i cerkiewny język drożdzy dolał. Oczewiście, bo piszący są po największej części klerycy i księża ruscy a nawet diaki. Słowa polskie, ruskie, rossyjskie, czeskie, cerkiewne, zwroty polskie, niemieckie, rossyjskie, ruskie, nakoniec massa słów efemerycznych bez logiki i przejęcia się duchem mowy, najlekkomyślniej na los szczęścia improwizowanych, oto język piśmiennoruski teraźniejszy, którym teraz piszą najwięcej w diecezyi lwowskiej, z wyjątkiem Mogilnickiego a dawniej Wagilewicza, Ustyanowicza i Szaszkiewicza. Na dowód tego nadmienimy tylko o konglomeracie różnych utworów pod napisem: Wesna, o dawnym tygodniku: Pczeła, i owej nawet od najfanatyczniejszych potępionej Ładzie; takich jest mnóstwo ustępów w Zorji a i w Wistnyku. Nie chcę tu wspominać już o utworach węgierskich Rusinów. Weź ustęp z napomnionych pism, czytaj go prostemu ale pojętnemu chłopkowi, mowiącemu jedynie po rusku z dziada pradziada, a bądź pewnym, że słów tych dziwotwornych nie zrozumie.

Jakiż więc rezultat osięga wielka część pisarzów w narzeczu ruskiem? Czyż nie lepiej było pisać językiem ludowym i być zrozumianym od ludu? Zaprawdę! dopokąd nie wrócą na ten tór, żadnej przysługi nie uczynią ludowi naszemu.

Zostawiając sobie na poźniej szczegółowy rozbiór tak zwanej słownesnosty, t. j. literatury ruskiej ludowej, podajemy tu czytelnikom naszym utwor młodzieńca, który podanie gminne ludu ruskiego obrobił w języku, jakim mówi lud ruski w sanockiem, samborskiem i przemyskiem. Pisał językiem, jakiemu się od dzieciństwa i z zajęciem przysłuchiwał, a dyalektem tej okolicy, gdzie się przy zetknięciu ludu mazurskiego i ruskiego, z jednej strony wyrobił przez zbliżenie do ruskiego najczystszy język piśmienny polski, a z drugiej strony przez zbliżenie do mazursko-polskiego najczystszy ruski język. Zrozumie ten utwor każdy włościanin ruski, równie jak i każdy co dłuższy czas miał sposobność przysłuchać się mowie ludu.

KONSTANTYJ KNIAŻ NA OSTROHU.

Radujsia Podólie*)! Konstantyj z Ostroha,
Wże zkinuw'**) moskowski okowy,
No z Kremla do Polszczi dałeka doroha,
Za nym żene pohoń k' stepowy.

Oreł ulitaje, a za nym worony,
Oreł sia ukryje za chmary!
Łetysz i ty kniaziu, od carskoj pohony
Czy wkryjut tia stepów obszary?

Za cariom-ś, Tatarom zhnaw' step jak szyrokij,
Step znajesz, jak ryba kołbani,
A sońcia boiszsia, jak Tatar bezokij,
Po nócznóm zbihajesz omani!

Dla tebe o! kniaziu by świtłoj korony,
Jedwabni, zołoti by szaty,
Ne kołpak baranij, ne siry opony,
Jak nyni musiw'jeś prybraty.

Ho! pohoń wże błyska, pyrskajut tuj boki
Koniowy, szumyt szczoś, świtytsia,
I zwón deś hołosyt w nyzyny szyroki,
To cerkow' i Dnipr sławutycia*)

„Oh! sława ty boże!" i z Dnipra napyły,
W chołodnyi werhły sia fali,
Oboim prybyło ochoty i syły.
„Tam Ruś wże, hej koniu mój dalij!"

Oj kóń twój woronyj jak oreł litaje,
No orli ne maje wón kryła,
Wón nohi zlitaw' wże, krow' z pyska buchaje,
I pohoń ich tuj dohonyła.

---

*) ó czyta się w polskim piśmiennym jak u; w ludowym ruskim zaś ma brzmienie w rozmaitych okolicach rozmaite. Mniej więcej zaś nachyla się do brzmienia i lub niemieckiego ü.

**) w' spływa z poprzednią samogłoską w dwugłoskę i wymawia cię jak *u* n. p. skinuw' tak jak skinuu.

*) Sławutycia, przydomek Dniepru w pieśni o Igorze, w dumach i mowie ludu. Pochodzi albo od „sława" sława albo od „sława" piana i toczyć, t. j. pianę toczący.

„Oh bože! wótczyny ne wbaczu, ni domu!
Syrotamy ruskii dity!
Choť dajže sia serciu złehczyty mojomu,
I w cerkwi choť raz sia mołyty!"

I szczej ułetiły po czystom bołoniu,
Prypały do cerkwy poroha,
Kniaż konia puskaje: «Idy lubyj koniu,
Ty wólnyj, ja plónnyk, sud boha!»

Tryczy prekrestyw'sia, upaw' na kolina,
Za nym stojat ditczi storoži,
Porwały by kniazia, no świata hodyna,
I ždajut kóncia chwały božój.

Szczoś hamor po cerkwi, szyptajut szczoś lude,
Zkóńczyła sia božaja chwała,
«Chod' sukij ty kniaziu, s tobeju szczo bude?!»
Taj kniazia wže pohoń wiazała.

„Kniaź, kniaź" toje słowo jak łyskawka pało,
Do plónnyka spiszyt świaszczenyj:
„Hej ruskii dity! o hospodnia chwało!
To kniaź nasz z Ostroha lubłenyj!"

Skoczyw' na dzwonyciu, taj sylno zazwonyt,
„Na drabów mołodci pro boha!
Tu bat'ko ich, dit'ko, wže ne oboronyt,
Moskalów pred dit'my Ostroha."

Popyrskały spisy o szapki barani,
Jeden, druhij z konia wałytsia,
Wže wsi borodamy swoimy swiazani,
Do kniazia nóh naród tłumytsia.

Radostna hromada do cerkwy sia sbihła,
S'piewaje „Chwałym tebe boha."
Bo to by móc ludska zdiłaty ne wstyhła,
Kob ne wira kniazia z Ostroha.

Platon K.

NIE UFAJ SOBIE.

Powieść przez Marya z Chłędowskich Pomezańska.

1.

Na jednej z ulic większych miasta stołecznego, w pokoju, któremu wytworne, drobiazgami świecące przystrojenie, i przybory gotowalniane nadawały prawo do nazwy eleganckiego budoaru, siedziała młoda jeszcze i piękna zawsze pani Zenobia. Była to jedna z tych modnych pań, które się wiecznie nudzą, chociaż dla większej i dłuższej zabawy dnie sztukują nocą. Była ledwie dziesiąta z rana, i chociaż tylko co z łóżka wyszła, znudziła się już niepospolicie, znudziła rozpamiętywaniem dnia wczorajszego, znudziła każdą chwilą, która się jej tak nieznośnie wlekła, znudziła myślą o całym dniu, jaki ma nastąpić, a który oczywiście miał być jak wszystkie inne, poświęcony gonitwie za zabawą.

Najlepszym dowodem jej znudzenia, były zgrabne jej w złotem i srebrem tkane meszty ubrane nóżki, tupające mechanicznie a niecierpliwie w podłogę. Oczy jej zwrócone były w sufit, i zdawały się z wielkiem zajęciem przypatrywać pomalowanym na nim arabeskom. Myślałby kto może, że ją w rzeczy samej zajęła piękność arabesków? Gdzie tam! patrzała, bo niewiedziała co z oczami zrobić, patrzała by patrzyć, bez myśli, bez uwagi! Mój Boże! Jakżeżby to smutne było odczarowanie dla próżności naszej często tak uparcie zarozumiałej młodzieży, gdyby naszym trefnisiom tak pewnym siebie, powiedział kto, że zajęcie się nimi modnej damy, na której oczach ku nim zwróconych budują cały ogrom swoich nadziei i planów, często z tych samych wypada powodów, jakie zwracały oczy pani Zenobii ku sufitowi!

— Cóż tam dzisiaj? spytała niedbale służącej, która rozmaite robiła przygotowania do ubrania swej pani.

— Śliczna pogoda pani!

— Jakżeś nudna z twoją pogodą! onegdaj była pogoda, wczoraj była pogoda, dziś to samo, i jak na złość, jutro będzie zapewne także pogoda. Wiecznie jedno i to samo. Cóż za nudny blask bije od okien. Pozapuszczaj story!

Zrobiło się ciemniej w pokoju, ale nie zabawniej w usposobieniu pani Zenobii. Trochę westchnęła, trochę ziewnęła, i porwała za książkę jakąś. I książka nie zabawiła, rzuciła więc ją precz od siebie, i zamarzyła. Miała zaś ten zwyczaj, że jej marzenia bywały często wpół głośnemi monologami, co ją znowu potem tem mocniej niecierpliwiło. Marzenia jej tego poranku były oczywiście równie szarawe, jak całe usposobienie; a że prócz tego były więcej długie niżeli zajmujące, niebędziemy nad niemi się rozwodzić. Niewdzięczne by to było dla powieściarzy zajęcie, spisywać wszystkie tego rodzaju marzenia znudzonych pań modnych, marzenia codzień dłuższe, codzień nudniejsze, codzień posępniejsze, im więcej tym paniom przybywa lat. Byłoby to zadanie nie wielce korzystne dla ich sławy i zarobku; chybaby podobne utwory dały się umieścić w aptekach, obok innych opiatycznych środków do sprowadzenia snu dążących.

Zenobii marzenia w tej chwili wysnuły się z tylko co odrzuconej książki. Gniewały ją wyczytane jakieś przymówki, które ona nazywała paszkwilami, na dobry ton, na elegancyą, na mody, i te wszystkie inne jej bożyszcza, przeciw którym śmieją tak często powstawać jakieś literackie parweniusze, nieprzyjaciele przywilejów, wyższej klasie ludzi właściwych. A te przywileje tem były droższe pani Zenobii, im sama dłużej cierpieć musiała, a znosić mnogie ugryzki i upokorzenia, a wiernie przysługiwać się, nadskakiwać i rozbijać się, zanim się mogła wśliznąć w to tak zwane *wyższe koło*. Pani Zenobia bowiem, ani z urodzenia, ani z majątku, nie należała do tego koła, nie była owym szczęśliwym *legatus natus* w towarzystwie wyższem, któremu od kolebki pretendować wolno do wszelkich zaszczytów, wysokiemu rodowi przynależnych. Nieźle

urodzona, gdzieś tam w jakimś domku szlacheckim, lepiej nieco poszła za mąż, bo za rodzaj barona, musiała dopiero terminować, długie odbywać wędrówki po wodach i stolicach zagranicznych, różne utworzyć arcydzieła w sztuce ubierania się, znalezienia się, i innych tajemnic mody, aż dopiero po ostatniem arcydziele, to jest po straceniu majątku najmodniej i najprzyzwoiciej, gdy ze znakomitem pojęciem kunsztu ekwilibrystycznego stanęła na wyciągniętej linwie sztuki robienia długów; wówczas dopiero dostała tak drogo upragnione, a drożej jeszcze zapłacone, bo i majątkiem i stratą najpiękniejszych uczuć i złudzeń, prawo obywatelstwa do towarzystw wyższych. I tak krytykując nowsze powieści, dla pociechy rzuciła się pamięcią w objęcie miłej dawniejszej literatury francuskiej, w której same wyższe klasy odgrywały jakąś rolę, a nie było tych ckliwych, nie woniejących perfumami bohatyrek z ludu, w której nareszcie autorowie dobrego tonu i wychowania nie ostrzyli swych dowcipów na tych wyższościach towarzyskich, które jak twierdziła pani Zenobia, są ich *bêtes noires*. Ztąd niedaleki był przechód dla rozbujałej fantazyi, do stokroć błogosławionych czasów Ludwika XVI. rejencyi i Ludwika XV. Cóż to bowiem były za mądre czasy, kiedy panowały kobiety, tytułem swego dowcipu, swoich wdzięków, i umiały najpierwsze w świecie głowy schylać pod swe pantofelki. O pełne uroku panowanie pantofelków! I czułe spojrzenie rzuciła pani Zenobia na swoj własny pantofel. Jeździł on już po nie jednej głowie; o gdyby tak ciągle trwać mogło! Lecz!... Westchnieniem zbudziła się Zenobia.

— Pytałam się, co to dziś jest? przemówiła do służącej.

— Niedziela.

— Naturalnie bardzo! po wczorajszej sobocie nastąpić musi niedziela. To wielce zabawne! gdybyć już raz przecie piątek nastąpił po sobocie, choćby dla odmiany.

— Dla pani to by na jedno wyszło; mybyśmy tylko stracili, bo zamiast jednego piątku, mielibyśmy dwa, a klucznica kazałaby nam dwa razy na tydzień pościć. A tak to przynajmniej mniej, w niedzielę możemy pójść do kościoła.

— To wy pościcie w piątek? jakaż nudna ta klucznica!

— Gdyby się to pani sama w to wdała, to by i wydatki były mniejsze, i pani by się nie nudziła.

— I wam by lepiej było? zapewne!.. ale czyż ja mogę jak mól siedzieć w kaszy i mące. Czyliż to jest zatrudnienie dla mnie, dla której otwarte salony świata wyższego, modnego.

— Byłaby choć odmiana!

— Odmiana! zapewne! ale ty tego moje dziecko nie rozumiesz!... i rozumieć nie możesz. My żyjące w świecie jesteśmy dziećmi zepsutemi! Nam trzeba albo zaczerpnąć coś nowego, wyższego, albo nudzić się śmiertelnie!.. Wrócić nazad do tych zwyczajnych zatrudnień domowych jest niepodobieństwem! To dobre dla ciebie Ciepielesiu! dobre dla tych które od dzieciństwa nie znały nic innego, i żyją jak je matki przyzwyczaiły.

— Może to i szczęście! marzyła dalej pani Zenobia zwyczajem swoim, wymawiając czasem słowo głośniejsze. Ja matki takiej nie znałam; odumarła mnie dzieckiem. A ta Dążycka co się mną opiekowała! Moje życie dzisiejsze jej jest dziełem! Ona to swojemi przesadnemi naukami i wyobrażeniami o świecie modnym, o świecie wyższym, wepchnęła mnie w ten świat zimny, w którym żyję dotąd, i żyć już muszę, bo powrót do dawnych uczuć młodych, niewinnych niepodobny.

I po mału przesuwały się przed wzrokiem pamięci dawne obrazy. Widziała się Zenobia młodziutką panną, z uczuciem w sercu, z nadzieją, z marzeniami w młodej głowie. Widziała Gustawa, owego ślicznego Gustawa, którego tak kochała, kochana wzajemnie. Czemuż nie została jemu wierną? W chwili pożegnania, jego ostatnia łza, i druga własna łza, to jedyne ostatnie, pełne uroku pamiątki. A potem ile roskoszy, ile tryumfów, zabaw, odurzenia; a wszystko próżne! wszystko szych tylko, bez prawdy, bez szczerości! Szczęście zostało za oknami karety, w które ją opiekunka wepchnęła z spruchniałym baronem. Odtąd nastąpiły dnie świetności światowej; mnóstwo blasku!... a szczęście?... gdzie?... ileż to przymówek znieść trzeba było, zakierowanych do kupionego baronostwa.

Przemykały znowu pod wzrokiem pamięci obrazy balów, zabaw hucznych, w których młoda i piękna baronowa pierwszą odgrywała rolę; obrazy dostatku, którym kupiła to swoje w świecie wyższym położenie, kupione zaiste bardzo drogo, bo stratą uczuć lepszych, kupione niegodnem bolesnem upokorzeniem; obrazy strojnych motylów, którzy hołdy swe składali u stóp młodej żony starego męża. Pamięć tych hołdów, wywołał podwójny rumieniec na twarz Zenobii, rumieniec roskoszy, i rumieniec wstydu!... Nowe przesuwają się obrazy. Umarł stary baron, wdowa została wolną, otoczona tym światem, któremu się z duszą zaprzedała. Dostatki dawne rozeszły się na konieczne jej stanowiska wydatki. Smutne obrazy; żądza zabaw została; zejść z widowni świata niepodobna, a do położenia, po większej części zrujnowanego, przyznać się niepodobna. Lepiej umrzeć, jak się przyznać, do takiego położenia, albo żyć w mierności, tej mierności nieznośnej. I coraz ciemnieją więcej przesuwające się obrazy. Bo w jakże okropnej żyć musi podległości? jakiemi ofiarami okupywać możliwość utrzymania się przy pozornie świetnem położeniu swojem? Ma wielbicieli wielu jeszcze, między niemi są bogaci, ale czy się który z nią ożeni? Aż się mimowolnie za głowę porwała, bo czując że daremne były w tej mierze wszystkie jej nadzieje! I on nawet, ten jeden który ją

najwięcej zdaje się kochać, i ten nie, o nie!.. Dla czego? Nie chciała biedna kobieta myśleć o tem dalej, żal tylko, żal okropny ścisnął jej serce.

I po chwili wróciła myślą do pierwszej przyczyny, do pani Dążyckiej, opiekunki pierwszych jej lat młodzieńczych. Nienawiść do niej ozwała się w jej sercu.

Wszakże ma przyjechać temi dniami — marzyła dalej w pół głośno. Przywiezie mi córkę swoją, i zaklina mnie bym z niej zrobiła damę światową jaką sama jestem. Pisze mi, żebym jej Felicyę zrobiła tak szczęśliwą, jak sama jestem. Szczęśliwą jak ja! Nie jestże to szyderstwo? Dziwna rzecz, ta Dążycka, sama stała się na wsi parafianką, przerobiona okolicznościami, mężem, dziećmi i otaczającym ją światem; przesiąkła dawnemi pretensyami do światowości, skarży się że jej córka ma dużo w sobie parafiaństwa, przy którem obstaje z uporem, i nie chce przejmować się dobrym tonem. Lękam się tego stworzenia, jeżeli ma jeszcze więcej uporu i parafiaństwa od matki. Będzie to dla mnie tak nudne! Lecz to fraszka! na pierwszy rzut oka poznam, co się da zrobić; zostawię ją lub odeszlę. Pocóż zostawiać! cóż ona tu zrobi, minęły czasy w których można było złapać takiego starego barona; dzisiaj najpierwsza piękność bez posagu nic nie znaczy! Więc lepiej odesłać, lub zaraz napisać. O nie! — zawołała nagle i z pałającym zerwała się wrzaskiem.

Nowa myśl — dziecko znudzonych i zepsutych jej marzeń, przemknęła jej przez głowę. Dążycka ją zgubiła; ona to wydarła jej spokój, szczeście; ona wepchnęła w to życie, z którego nie ma już wyjścia przyzwoitego, jak galerowego więźnia przykuła do tej niewoli na zawsze, a teraz sama matka żąda, aby córka używała tego szczęścia jakim swoją wychowankę obdarzyła! Żąda, by z głowy Felicyi wybić sentymentalność, a z serca uczucia i zdania, a może i jeszcze kogoś! A więc niech się stanie wola matki. Niech będzie tak szczęśliwą, jak ją chce mieć matka, niech straci wszelkie uczucie, i stanie panią światową, panią modną! Pomódz do tego, będzie to zadosyć uczynić woli matki!

Zenobia czuła w tej chwili że jest złą, bardzo złą, lecz co jej tam do tego. Zemsta stała się jej w tej chwili potrzebą wzburzonych uczuć, potrzebą rozrywki! I jak każdy człowiek najgorszy, tłumaczyła sama przed sobą swoje postanowienie rozmaitemi pozorami. Jeżeli ma ta dziewczyna silne zdanie własne — myślała pani Zenobia, pójdzie za niem, i moje usiłowania będą daremne; jeżeli nie ma zdania, stanie się taką jak chce matka, by była. Może to właśnie jej przeznaczenie, by jak drugie, małpowała obyczaje i narowy świata stołecznego, i tyle użyła rozkoszy ile ten świat wielki dać może. A jeżeli w nim zasmakuje, patrząc na przykład mego życia, czyliż to będzie moja wina; jeżeli prostoty wiejskiej wyrzeknie się, i nie będzie miała odwagi wrócić do mierności, czyliż ja będę winna! To będzie wina świata modnego, którego zakosztuje, bo świat modny ma swoje więzy, w które raz uwikławszy się, trudno dobyć się; ma swoje prawa, których bezkarnie przekraczać nie można. Trzeba uciec od razu, lub iść po nim gładko, choć z kolącemi w nodze cierpieniami.

— Tak jest! niech przyjedzie Felicya — zawołała głośno; ja ją wychowam, niech wejdzie w świat i szuka szczęścia i szuka męża.

Własnym zbudzona głosem, obejrzała się na służącą.

— Ciepielesiu! — dodała, ty mnie podsłuchujesz!

— Nie pani! ja składam rzeczy. Słyszałam tylko, o czem już pierwej wiedziałam, że przyjedzie jakaś panienka do miasta na wychowanie, że my mamy ją edukować, i jeżeli się uda, wydać za mąż.

— Przygotujże dla niej pokój, tylko bardzo cię proszę, nie zadawaj się z nią w te rozmowy spiżarniowe, bo właśnie matka wyprawia ją do miasta dla tego, aby się otrzęsła z tych wiejskich nawyczek parafiańskich. A teraz, ponieważ to niedziela, trzeba pojechać do kościoła, choćby dla przykładu. Będę się ubierać!

— Tu już wszystko gotowe!

— A pfe! czy myślisz, że jadę z wizytami, czy na bal jaki. Cóż to za stroje wykwintne? Do kościoła idzie się w negliżu. Przygotuj co innego, a mantylkę wybierz najwięcej pojedyńczą, aby dochodziła do samej szyi.

W czasie ubierania pani Zenobia niemniej znudzona, starała się rozerwać rozmową ze służącą. Był to już jej zwyczaj codzienny, zwyczaj dosyć przyjęty przez panie; wszak od służącej można się nieraz dowiedzieć nie jednej ploteczki, pochodzącej z sąsiedniej garderoby; a i to niezawadzi dla zabicia czasu, a czasem dla powzięcia jakiej wiadomostki, wielce przyjemnej i pożytecznej nawet, jeżeli dotyka jakiej światowej rywalki.

— Powiedz mi Ciepielesiu, czy nie wiesz, kto była ta pani, którą widziałam przeszłej niedzieli w kościele, w białej atłasowej sukni, z blondyną u dołu, a krojem do gorsu.

— To jakaś pani ze wsi, która zaraz po ślubie przyjechała do miasta.

— Rozumiem, i wzięła suknię ślubną do kościoła, dla większej parady, bo i zresztą niewiedziała gdzieby z nią wystąpić.

— A nawet odpowiedziała, gdy się ktoś temu dziwił: I gdzież się piękniej ubrać można, jeżeli nie idąc w dom boży?

— Nie ma co na to powiedzieć! Mój boże! jest w tem niby prawda, a przecież to śmieszne, i w salonie każdym wziętoby takie powiedzenie za doskonale wymyśloną facecyę. Jużciż i ja wchodzę z uszanowaniem do świątyni pańskiej, ale ubieram się bez pretensyi, bo taki zwyczaj, i nareszcie w kościele trzeba być skromną, choćby ubiorem — dodała w pół głośno z westchnieniem.

— Proszę pani, a ja biorę do kościoła co mam naj-

lepszego, i patrzę się po ludziach, i szczerze się przy tem wymodlę.

— Ty! moja kochana! to co innego! Zwyczaje są przywiązane do pewnych klas społeczeńskich. Ty naprzykład bierzesz fartuszek aby zaszanować i niezbrukać sukni; ja jeżeli go czasem wezmę, to chyba, aby pokazać żem ubrana po domowemu, żem zatrudniona, lub nareszcie dla odmiany, aby dodać ubiorowi coś niezwyczajnego, du piquant!

— I ja nie zawsze biorę fartuszek dla zaszanowania sukni; czasem biorę z potrzeby, aby pokryć plamy i dziury.

Pani Zenobia zaśmiała się szczerze..

— Otóż widzisz Ciepielesiu jaka to różnica. Ja choć się nieustroję do kościoła, każdy pozna we mnie elegantkę. Są pewne oznaki w stroju najprościejszym, zdradzające prawdziwy typ elegancki. Przyszła mi w tej chwili na myśl pani L... Dobrze wychowana, rozsądna i miła, z dobrym taktem nareszcie, i w domu u niej choć niema zbytku, ale jest porządnie; a przecież tak się czasem ubiera, że mimowolnie śmiać się trzeba. Kapelusz strojny weźmie ten sam do kościoła, jaki na wizytę pierwszą; suknię tam gdzieby wypadało szlafrok; do jedwabiu weźmie nicianą koronkę, do blondyny perkal. Tego prawdziwie nie pojmuję.

— To proszę pani i żydówki mają zwyczaje eleganckie bo i one nie wezmą do kapoty bawełnianej, wełnianej podszewki, ani płóciennej do jedwabnej.

— To co innego; u nich to są przesądy religijne. U nas zaś jest to wyrafinowanie elegancyi, na której dobrze znać się trzeba, aby uchodzić za prawdziwą elegantkę. Aby nią być, trzeba znać wszystkie odcienia elegancyi. Trzeba wiedzieć, jak szal zarzucić, jaki kwiat, jaka woń jest w modzie, jak usiąść, jak ułożyć rękę, spojrzenie, głos nawet.

— Już to ja pani szczerze powiem, że te wszystkie ceremonie pańskie nie mieszczą mi się w głowie. Co zaś do pani L... o której pani wspomniała, to ręczę że jeżeli co wzięła na siebie nie wedle przepisów mody, zrobiła to pewnie przez rozsądek.

— A to jakim sposobem?

— Widzi pani, ja u niej służyłam, gdy im się lepiej jeszcze wiodło, dopóki mężowi nie odebrano urzędu dla przyczyn jakichsiś. Teraz są znowu w lepszym stanie. Ja wiem tedy, że u nich nic się nie dzieje bez rozsądnej przyczyny. Jest to pani nie bardzo bogata, więc musi być oszczędną, niema tylko jeden kapelusz, i musi go brać wszędzie, a że musi oddawać wizyty, więc kupiła od razu kapelusz strojniejszy. To bardzo dobra pani, i nieraz mówiła ze mną tak szczerze, jakbym ja nie była jej służącą. I mówiła mi nieraz: gdybym się nie ubrała na wizytę podług zwyczaju przyjętego, może by to uważano za uchybienie, a ja niechcę chybiać nikomu, a choć w kościele wystąpię strojniej, Bóg mi przebaczy, bo wie że to nie pretensyja, bo wie, że w mojem sercu pokora i modlitwa. A że się kto roześmieje, mnie to nie szkodzi, a ten co pożartuje, zyska na zdrowiu może przez dobry humor, a sumienia swego nie obciąży, bo obmowa nie tycząca honoru, to jak pokrzywa, która piecze, ale nie truje.

— Znowu prawda niby, ale czyż można coś podobnego powiedzieć, bez wzbudzenia śmiechu. Ale w końcu takie życie pełne rozsądku, pracy i ofiar, bez żadnej przyjemności, jakie prowadzi pani L. musi być bardzo nudne.

— Przepraszam pani, jeżeli ja taka śmiała, i spytam czy łaskawa pani bawi się?...

— Śmieszne z ciebie dziecko. Ja się nudzę z przesytu.

— Pani L., nie nudziła się nigdy.

— I zrobiła z ciebie doskonałą choć trochę za śmiałą służącą, z którą ubierać nigdy mi się nie przykrzy.

— Pani L. była moją dobrodziejką, rozmawiała często ze mną, bo z nikim, choć równym od siebie, nie wstydziła się pogadać, dawała mi dobre rady i nauki, słowem wychowała mnie prawie, gdyż byłam u niej lat kilka. Lecz gdy popadli w nieszczęście, powiedziała mi, że jestem za droga dla niej, i mimo płaczu i próśb moich, odprawiła mnie. A nawet wskazała mi służbę u pani, jako dobrej i bogatej.

— Bogatej! wymówiła po cichu z westchnieniem; pokazuje się, że umiem dobrze ukrywać moją świetną nędzę. I cóż ci więcej o mnie mówiła pani L., dodała głośno.

— Do mnie nic, ale....

— Cóż ale?

— Źle się pani zarekomenduje, gdy powiem, że wiedziona ciekawością, podsłuchałam rozmowy państwa, gdy mówili o pani między sobą.

— Brzydka to wada dla służącej, ale niechże ja z niej korzystam i dowiem się co mówili o mnie.

— Ja nieśmiem powtórzyć.

— Mów śmiało; ja się pewnie gniewać nie będę.

— Powiem, kiedy pani każe. Pani Zenobia, tak mówiła moja dawna pani, jest dobre ale zepsute dziecko świata modnego, na nieszczęście nie do poprawienia. Ona umrze ze swojemi wadami i cnotami. Złe zrozumienie dobrego tonu i mody przewróciły jej głowę, chce gwałtem naśladować niedorzeczności świata modnego, i nieraz znosi upokorzenia, jakiemi jej ten świat chce pokazać, że ją tylko z łaski przyjmuje w grono swoich wybranych, i że mimo to należy do parweniuszów.

— Tak mówiła pani L., ozwała się Zenobia cała w płomieniach, nie bez wewnętrznej boleści, bo jej niezepsute zupełnie uczucie, przekonywało ją, że słowa pani L. były najzupełniejszą prawdą. Lecz mów dalej, i nie myśl by mnie to w czemkolwiek obejść mogło. Cóż bowiem mogą mnie obchodzić słowa kobiety, nienależącej do naszego to-

warzystwa, którą świat modny unika, co zapewne wzbudza jej zazdrość, i tłumaczy niechęć do nas.

— Nie wiele zostaje mi do powiedzenia. Dodała jeszcze, że pani aby dogodzić światu modnemu nieraz obraża tych i wyśmiewa, których w głębi duszy szanuje, a pogardza temi, do których czuje mimowolny pociąg. Że pani nudzi się niepospolicie, chociaż ma w duszy niewyczerpane skarby uczuć prawdziwych, któremi by mogła uprzyjemnić życie sobie i drugim, i że mogąc być ozdobą towarzystwa sobie równego, woli pani być ostatnią w towarzystwie nierównem sobie. Żal mi pani Zenobii, skończyła, żal serdeczny.

— A to prawdziwe kazanie! zawołała Zenobia, udobruchana nieco; ledwie mi już teraz potrzeba iść do kościoła.

A mówiąc spojrzała w zwierciadło.

— Znowu ten fałd pod okiem! — mruknęła do siebie z smutkiem prawdziwym, czuła bowiem, że ten pierwszy zwiastun tylu innych fałdów, wywołany przedwcześnie życiem tysiąca mąk i niepokojów, to smutna wróżba przyszłości. Wiedziała ona dobrze, że przy braku dostatków młodość tylko i piękność mogą ją utrzymać na dawnem stanowisku.

I ciągle trzeba zarówno jak strój modny na siebie, brać na twarz wesołość lekką, dowcipną. Są to męki okropne zużywające wiek i wdzięki.

— Śmiać się, cieszyć, kiedy w sercu ból! — zawołała głośno odchodząc od okna.

— A przecież — ozwała się śmiała dziewczyna, będzie pani dziś wieczór tańczyć na balu z zwykłą sobie wesołością, bo i cóż kochanej pani brakuje? jesteś pani bogata!

— Bogata! — powtórzyła biedna Zenobia.

— Młoda i ładna! — ciągnęła służąca dalej.

— Na jak długo jeszcze? — spytała Zenobia sama siebie.

— A pan Ludwik taki przystojny, tak dobrze ułożony, tak bogaty, kocha panią szalenie, i byle pani chciała, ożeniłby się dziś jeszcze.

— Tak sądzisz? — krzyknęła Zenobia takim głosem, aż służąca cofnęła się przestraszona.

— Kocha mnie! — mówiła dalej do siebie Zenobia najtajniejszej swej słuchając myśli: ale jak kocha? Ożeni się! on nigdy się ze mną nie ożeni! nigdy! Ze mną ożenić! zaśmiała się wewnętrznie, a przez jej twarz kurcz przykry przebiegł. Moje szczęście minęło niepowrotnie! Precz z niem! Ja zabawy pragnę! Precz wspomnienia, precz smutki! Po kościele sklepy, wizyty, bal. Cudownie będę się dzisiaj bawić.

I stłumiwszy wewnętrzny niepokój, wybiegła z pokoju lekka i swobodna na pozór jak motyl.

— Żal mi jej! — mruknęła służąca, kiwając głową za nią. Ale więcej jeszcze żałuję tej panienki, co tu ją niby mają edukować, a szukać dla niej szczęścia! Biedna dziewczyna!

(D. c. n.)

Rozmaitość.

* Kraszewski ogłasza w bibliotece warszawskiej ciekawe nadzwyczajnie korrespondencye, notatki i wyjątki z pamiętników znalezionych z drugiej połowy 18go wieku (1775—1778.) Raptularze te zawierają niejeden ciekawy szczegół, dający lepiej poznać wiek, obyczaje i charaktery nam właściwe, niż długie wywody historyczne. Autor gospodarz, jurysta, facyendarz, plenipotent możnych, ajent partyi, chwilowo jenerał brygady (J. L.) zapalony myśliwiec i sejmikowicz niepospolitych talentów maluje się sam i wiek bardzo żywo i dobitnie. Oto n. p. co mówi o weselu ówczesnem:

«Dziś powracam z wesela córki starosty Nakielskiego; odbyło się solenniter, choć doprawdy i śmiechu było dosyć krom uciechy, bo i tu dwie partye występowały, jak to na świecie wszędzie. Jedna partya chciała, żeby się to odbywało po staroświecku i po staropolsku, zatem z mowami, z oddawaniem w łożnicy, z marcepanami i upominkami, z dziękowaniem i wszystkim obrzędem: druga z francuska, chciała jakoś kuso a modnie wystąpić, bez tych zastarzałych ceregielów... A że starzy byli za starym obyczajem, a starych menażować potrzeba, bo na szkatułkach siedzą; młodsi jak w ukropie kręcili się żeby ich nie obrazić, a swoje zrobić, bo im te oracye śmierdzą. Co chwila więc lukta, prośby, i już ułożone oferty chowają radzi nie radzi do kieszeni; ledwie jeden zamilkł, choć się skwasił, drugi występuje z wymową, i nuż tamować drugiego. Zakrzewski mało się nie zjadł, i chciał za oracyą, którą zkądeś wypisawszy adornował po swojemu, aż do korda się wziąć. Słowem, żem się dobrze w duchu uśmiał z wojny domowej o te ceremoniały, bo doprawdy było z czego za boki się trzymać, gdyby humor i nie respekt. To pewna, że niedobry to znak, kiedy ludzie na wyprzodki staremi poważnemi zwyczajami rzucają. Ma swoję zaletę i nowość z przyjemności, ale dla niej zapierać się swojego odwiecznego zwyczaju, jakoś to lekkomyślnie i nic dobrego nie wróży. Gdy się już ceremonie odbyły (bo i o koronę panny młodej, którą na wianeczek skromny zamienili, był żywy spór) dopieroż do tańca. Tu znowu naszych podgolonych czupryn z perukami i świniemi ogonkami tej francuszczyzny pogodzić ani sposób: graj im stare, tym nowe menuety; ażem ja wziąwszy pod moję komendę klarnecistów, kompromisem pogodził, mieli wszyscy zadość. Pijatyka na uboczu była wielka, ale wino lura dla rzeczypospolitej; wybranym tylko lepszego dolewali.»

* **Aluminium** ten metal szlachetny, szlachetniejszy od srebra, nowo wynaleziony, nazwali chemicy polscy g l i n e m, dlatego że się z gliny wydobywa. Pierwszy pan Wöhler wydobył glin z chlorku gliny. Przez rozpalenie chlorku glinu cząsteczki metalu glinu skupiać się będą i utworzą kuleczki. Wziąwszy wtedy to ciało w kulkach, zmieszane z chlorkiem potasu, (w skutek rozkładu jak powiedzieliśmy chlorku glinu przez potas, utworzy się chlorek potasu i glin, i obadwa będą wspólnie); lub gdyby był użyty do rozkładu chlorku glinu metal sod (co byłoby korzystniej) z chlorkiem sodu, i ogrzewając to w tyglu porcelanowym do mocnej czerwoności, nadmiar chlorku glinu się ulotni, a pozostanie istota solna, kwaśna, wśród której znajdują się kuleczki glinu zupełnie czystego. Glin biały nie ulegający zmianom podobnie jak srebro, nie czerniejący się w powietrzu, topliwy, klepalny, ciągły i wytrzymały a posiadający szczególną własność, że jest lżejszy niż szkło, może przynieść nieskończone korzyści dla przemysłu, jeżeli będzie z łatwością otrzymywany. Tego zaś życzyć sobie należy ze względu, że jego ruda, tojest glina znajduje się obficie w przyrodzeniu. P. Deville utrzymuje, że glin bez trudności da się wydobywać, bo chlorek glinu rozkłada się z wielką łatwością w

temperaturze podwyższonej, przez metale pospolite. W skutku powyższego ogłoszenia, p. Chapelle w dniu 6 marca r. b. także zawiadomił akademią paryzką o swych poszukiwaniach tyczących się glinu. Ponieważ nie miał ani chlorku glinu, ani sodu; otrzymał więc ten metal w sposób następujący. Sproszkował zwyczajną glinę, i zmieszał ją z solą kuchenną i pyłem węgla drzewnego, potem to wszystko ogrzewał w tyglu pospolitym w piecu rewerberowym używając koksu; ale nie mógł uzyskać rozpalenia czerwono-białego. Po ostudzeniu, stłukł tygiel, i wydobył żużel wzdęty, wśród którego znajdowały się rozsiane małe kuleczki, białe jak srebro. Kuleczki te ubijane w mozdzierzyku agatowym, płaszczyły się z łatwością na blaszki, jakby ołów.

Znaczenie poprzednich szarad: **1. Pomoc. 2. Pel. 3. Kuropatwa.**

Szarady.

1. Bez drugiej i trzeciej nie znajdziesz ludzi,
Druga zaś i pierwsza wesołość w nich budzi;
Wszystkie trzy na czele pisma się znajdują,
I w czasach wojennych bardzo nas zajmują.

2. Jego pierwszym, nakazujesz milczenie,
Drugiego ujechawszy, czuje się znaczenie
Całość piękna, bo jest śmiały wódz,
I ma zadanie wrogów kraju tłuc.

3. Jedno pierwsze lub czwarte, mocny trunek
Drugie, znane z konfederacyi jak dzwonek,
Trzecie, wykrzyknik, a całe,
Biorą gdy chore, dzieci małe.

Przyjechali dnia 10. do 12. maja do Lwowa:

PP. Dunin Jan, z Głęboki. Gołuchowski Artur, hr. ze Skały. Komarnicki Jan, z Magierowa. Malczewski Henryk z Brzeżan. Małachowski Adam, z Oleśnic. Wiśniewski Henryk, z Dobrzan.

PP. Czerwiński Eugieni, z Krakowa. Dzieduszycki Edward, hr. z Płotyczy. Kuźmiński Michał, z Mikołajowa. Lewicki Józef, z Bonowa. Padlewski Aleksander, z Dołhego. Paszkudzki Ignacy, ze Żędowic. Popiel Michał, z Jaśnisk. Radziejowski Klemens, z Wiednia. Rybicki Konstanty, z Kozłowa. Szczepański Władysław, z Wiśniowczyka. Yunga Adam, z Dynowa. Zawadzki Apolinary, z Moronia.

PP. Dąbrowski Józef, z Nadworny. Hohendorf Eustachy, z Bar. Małachowski Ludwik, z Rokitna. Lityński Melchior, z Hołohrad. Wadowski Edmund, z Kochanówki.

Wyjechali dnia 10. do 12. maja ze Lwowa:

PP. Golejewski hr. do Stanisławowa. Gottleb Kwiryn, do Dołhomościsk. Komorowska Józefa, hr. do Horobrowa. Korytowski Karol, do Podhajec. Krasiński Piotr, hr. do Rohatyna. Stupnicki Michał, do Nadworny. Wiśniewski Jan, do Kurowic.

PP. Górski Tymoteusz, do Poniszowa. Milewski Stanisław, do Koniuszek. Mochnacki Józef, do Rzeszowa. Wiśniewski Henryk, do Dobrzan.

P. Niezabitowski Włodzimierz do Koropusza.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	zł r.	6	kr.	12	zł r.	6	kr.	16.
Dukat cesarski	„	6	„	15	„	6	„	20.
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	50	„	10	„	56.
Rubel srebrny rosyjski	„	2	„	6	„	2	„	8.
Talar pruski	„	2	„	2	„	2	„	4.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	32	„	1	„	33.
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł r.	„	91	„	45	„	92	„	—.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam.	$115\frac{1}{4}$.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$136\frac{3}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$133\frac{1}{4}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	161.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$136\frac{1}{2}$.	Agio duk. ces.	$40\frac{5}{8}$.
Genua.	—.	Srebra agio	36.
Hamburg za 100 tal. banco.	$101\frac{1}{4}$.	Pożyczka 5% $86\frac{7}{16}$. $4\frac{1}{2}$	$77\frac{1}{4}$.
Konstantynopol.	—	Pożyczka lit. B.	—
Liwurno.	—.	Akcye banku	1215.
Londyn za 1 funtszterl.	13. 19.	Kolej północna	$2147\frac{1}{2}$.
		Obl. ind.	5%. —

Lwów 12. maja. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 24 złr. 10 kr. do 25 złr. — kr. — Żyta po 20 złr. 45 kr. do 22 złr. 45 kr. Jęczmienia po 16 złr. — kr. do 18 złr. 30 kr. Owsa po 10 złr. 50 kr. do 12 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 18 złr. 45 kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 5 złr. 30 kr. do 10 złr. — Sąg drzewa bukowego 24 złr. 30 kr. do — złr. Sosnowego po 19 złr. 15 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 2 kr. do złr. 2 kr. 30. Centnar słomy 1 złr. 50 kr. do 2 złr. — kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 1 Złr. 38 kr. m. k.

TEATR POLSKI.

W Poniedziałek 15 maja: **Sen** czyli **Kaplica w czarnych skałach.** Dramat w 3. aktach tłumaczony z angielskiego.

Od wydawcy. Nr. 56. z zmianami powtórnie wydrukowany, dziś dopiero Szan. prenumeranci odebrać sobie mogą. Z tegoż samego powodu i prenumeranci pocztowi dopiero wraz z dzisiejszym go otrzymują.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**